

Dziewczynka w szarej sukience

To nie jest tak, że wszystkie dzieci boją się pierwszego dnia w przedszkolu i płaczą. Ja w każdym razie do takich nie należałam. Co więcej, nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie będziemy na miejscu. A droga do przedszkola była długa, bardzo długa. Żeby było szybciej, tata posadził mnie w wózku, a ja tego nienawidziłam! Miałam już przecież pięć lat i na wózek byłam stanowczo za duża. Protestowałam więc gorąco, ale tata nie miał zamiaru ulegać moim kaprysom, bo spieszył się do pracy. Na pocieszenie powiedział tylko, że przecież to nie jest wózek dla maluchów, tylko specjalny, na trzech kółkach, przeznaczony dla starszych dzieci, więc nie ma się czego wstydzić. Łatwo powiedzieć. Wbiłam wzrok w kocyk, którym tata otulił moje nogi – wprawdzie dzień był słoneczny, ale jesienny, rześki poranek miał swoje prawa. Patrzyłam na kolorową kratkę, bojąc się spojrzeń przechodniów. Na pewno myślą sobie, że taka duża, pięcioletnia panna powinna dzielnie maszerować, a nie zachowywać się jak jakiś bobas. Trzeba jednak przyznać, że droga była naprawdę długa. Najpierw Słoneczną w dół, potem w prawo wąskim wejściem do parku, w lewo parkową aleją, na skos w stronę kościoła Kamilianów, w dół do szosy Bytomskiej, którą trzeba było przeciąć, przejść przez szyny wąskotorówki, by znaleźć się w alei wysadzonej starymi, grubymi lipami. Wysoko ponad naszymi głowami krzyżowały ogromne, rozłożyste konary, tworząc zielono-żółty baldachim. Na chwilę mogłam zapomnieć o wózkowym upokorzeniu – przechodniów było tu niewielu, a parasol liści przyciągał wzrok. Oparłam głowę na poduszce i wpatrywałam się w szemrzący, liściasty gąszcz. Szumiał, szumiał nade mną jak woda w czajniku, kiedy bucha parą, bo mama nie lubi dźwięku gwizdka i zawsze go zdejmuje, a woda szumi, szumi ... Albo jak płyta z „Czerwonym Kapturkiem”, kiedy bajka już dawno skończona, a gramofon jakoś nie potrafi się sam wyłączyć i musi czekać, aż pojawi się tata, powie: „No, to teraz paciorek i spać”...

– No, to się pannie przysnęło, a tu pora wstawać! – usłyszałam nad sobą energiczny głos. Tata pochwycił mnie pod pachy i nieco nieprzytomną postawił na drodze. Zachwiałam się lekko i spojrzałam wokół. Lipowa aleja została już dawno za nami, miejsce lip zastąpiły równie dostojne kasztanowce. Po lewej i prawej stronie dostrzegłam gęste zarośla, a my szliśmy teraz szeroką ścieżką wysypaną drobnymi kamykami i żwirem prowadzącą w stronę szarego, piętrowego budynku. Gdzieniedzie leżały dojrzałe, błyszczące kasztany i zerkwały na mnie zachęcająco, więc nie wytrzymałam, puściłam tatową rękę i przycupnęłam przed jednym takim, bardzo malutkim i szczególnie urodziwym. Przez chwilę trzymałam go między palcem wskazującym a kciukiem i patrzyłam, jak łowi swoją gładką, ciepłą skórką promyki

porannego słońca. Potem pocałowałam go w kasztanowe oko i schowałam do kieszonki sweterka. Na szczęście. Tata czekał cierpliwie, paląc papierosa. Rozglądał się wokół, jakby też chciał znaleźć dla siebie taki kasztanowy amulet, a może przestało mu się spieszyć do zatłoczonego autobusu, do pracy, do obowiązków, do rozstania ze mną.

– Nie będziesz płakać? – zapytał zniechęcony.

– Nie, nie będę – obiecałam i tylko mocniej ścisnęłam ukryty w kieszonce kasztan.

Przed nami z każdym krokiem rósł budynek przedszkola. Duży, piętrowy, z licznymi spadzistymi dachami i daszkami. Właściwie należałoby go nazwać willą, bo prezentował się całkiem okazale – z gatunku tych, co to stoją za wysokimi płotami, tajemnicze i niedostępne, mimo iż czasy swej świetności mają już dawno za sobą. Wrażenie potęgował jeszcze kolor elewacji – szare, nieco przygnębiające ściany tu i ówdzie z ciemniejszymi plamami wilgoci czy brudu. Znów przystanęliśmy, a ja poszukałam ręki taty, tak na wszelki wypadek, żeby dodać sobie odwagi, która nagle gdzieś odpłynęła. Czy tutaj naprawdę jest przedszkole? Budynek, na który patrzyliśmy, przypominał mi wycieczkę z babcią Zosią do Opery w Bytomiu i ogromne wrażenie, jakie wywarło na mnie wnętrze gmachu: czerwony aksamit foteli, balkony, łoże i cudowny żyrandol. Teraz czułam podobne emocje. Parter przedszkola stanowiły bowiem dwa półokrągłe pomieszczenia – każde z trzema ogromnymi oknami. Między nimi znajdował się jeszcze okazały taras ogrodzony kamiennymi kolumnkami, na który prowadziły podwójne drzwi. Nad półokrągłymi salami na wysokości pierwszego piętra widniały balustrady, takie same jak wokół tarasu, otaczając dwa balkony. Z tarasu wiodły schody – wprost do ogrodu pełnego zaniedbanych krzewów i chwastów. Tam urządzono sporych rozmiarów piaskownicę okoloną czerwonymi deskami, na których można usiąść albo posadzić piaskową babę. Spojrzałam w górę, aż po spadzisty dach, w stronę facjatki, wyobrażając sobie, że to nie przedszkole, ale nasz dom, nasza willa, a tam wysoko jest mój pokój z wygodnym łóżkiem (najlepiej z baldachimem), z szafą pełną zwiewnych sukienek i całą masą zabawek. I kiedy tak patrzyłam – pół marząco, pół śniąco – zobaczyłam ją po raz pierwszy.

– Tato, tam w oknie stoi jakaś dziewczynka – wskazałam w stronę poddasza, w zaciśniętej piątce wciąż ściskając magiczny kasztan.

– Gdzie?

– Tam u góry!

Tata zadarł głowę, że aż musiał przytrzymać kaszkiet, żeby mu się nie zsunął na ziemię.

– Chyba ci się wydawało – stwierdził po chwili. – Nikogo nie widzę. To jakiś opuszczony strych. Okna brudne, żadnej firanki. Musiało ci się wydawać.

– Ale...

– Marudzimy i marudzimy, a ja już naprawdę muszę do roboty. Chodź.

Jeszcze przez krótką chwilę spoglądałam na tajemniczą dziewczynkę o długich, jasnych włosach ozdobionych ciemną przepaską, ubraną w bluzkę czy sukienkę z wysokim kołnierzykiem zakończonym koronkową falbanką, z długimi rękawami zapinanymi na szereg maleńkich guzików. Wszystko to widziałam bardzo dokładnie mimo dzielącej nas odległości. Dziewczynka też na mnie patrzyła, nawet uniosła rękę jakby w geście powitania, ale ja już musiałam biec, bo tata wyraźnie stracił cierpliwość.

Frontowa ściana budynku górowała nad nami jak groźny urząd, patrząc surowo dużymi, prostokątnymi oknami parteru i pierwszego piętra. Do tej powagi i dostojeństwa zupełnie nie pasował brzydki, blaszany daszek osłaniający główne wejście. To był daszek zupełnie podobny do tego, który dziadek zamocował kiedyś nad wejściem do wychodka, bo drzwi trudno się otwierało i zamykało, więc zanim się weszło, można było niezle zmoknąć, jeśli akurat padał deszcz. Daszek, mimo swej brzydoty, bardzo mi się spodobał, a strach i onieśmienie minęły jak ręką odjął.

Tata pchnął ciężkie drzwi i najpierw przeprowadził przez nie wózek.

– Jak chce pan wózek zostawić, to będzie ciężko, bo u nas mało miejsca i gdyby każdy tak chciał... – pokręciła głową gruba kobieta, którą tata zagadnął w sprawie wózka. – To trzeba z panią dyrektor.

– Nie będę pani dyrektor wózkami głowy zawracać – uśmiechnął się tata. – Z pani taka dobra kobieta i widać, że się tu pani dobrze na wszystkim zna, to na pewno gdzieś pani taki jeden mały wózek i to na trzech kółkach...

– Na trzech kółkach? Pokoż no pan... – przyjrzała się zaintrygowana. Wyglądało na to, że słowa taty sprawiły jej przyjemność. – Rzeczywiście, ale dziwoląg. Dom go panu do komórki, a jak pan przyjdzie, niech pan poszuka mnie albo woźnego. To mój chop.

– Dziękuję bardzo! Jakoś się odwdzięczę...

Kobieta machnęła ręką i wzięła wózek, a my ruszyliśmy po schodkach, przecięliśmy wielki hol i doszliśmy do szatni. Rozglądałam się na prawo i lewo, bo nie byliśmy już sami, wciąż mijaliśmy dzieci w towarzystwie najczęściej mamy lub babci.

W szatni zdjęłam sweterek, a potem przyszedł czas na te ohydne kapcie – wysokie aż nad kostkę, wiązane na brązowe sznurówki.

– Nie chcę takich kapci – szepnęłam do taty naburmuszona, choć wiedziałam, że usłyszę jak zwykle:

– Pan doktor kazał i nie ma gadania.

- Są brzydkie i dzieci będą się śmiały.
 - Nikt się nie będzie z Ciebie śmiał, a zdrowie najważniejsze. No, gotowe – sapnął tata, podniósł się i wtedy usłyszeliśmy:
 - To moje miejsce! Mamo! – obok stał jakiś chłopak i krzywił buzię. – Biedronka to mój znaczek!
 - Rzeczywiście, biedronka należy do Piotrusia – mama chłopca spojrzała na nas surowo. – Pomylił pan szafki.
 - O, przepraszam, nie wiedziałem – bąknął tata i po chwili staliśmy zdezorientowani w holu, a tata trzymał sweterek, buciki i bezradnie spoglądał na zegarek.
 - Ty pewnie jesteś Małgosia – usłyszałam nagle miły głos. Odwróciłam się i spojrzałam w górę na uśmiechniętą panią w zielonej sukience.
 - Tak, proszę pani.
 - Będziesz w mojej grupie. Pożegnaj się z tatą i idziemy do sali.
 - Tylko, proszę pani, co z tym? – tata podsunął nieznajomej sweterek i buciki niemal pod nos, a widząc jej zdziwienie, wyjaśnił: – My jeszcze nie mamy znaczka. Moje nazwisko Świerczok.
 - Miło mi. Gawlik. Renata Gawlik, będę wychowawczynią Małgosi. A te rzeczy – proszę mi je dać, znajdzie się i znaczek.
 - Dziękuję pani bardzo, bo ja już muszę...
 - Oczywiście, proszę iść.
 - To do widzenia, Małgola – tata przytulił mnie, uklonił się pani, a mnie coś ścisnęło za gardło, ale pani Renata podała mi rękę, znów się uśmiechnęła i pomaszerowałyśmy do sali na lewo.
- Na chwilę stanęłyśmy w progu, pani Renata odłożyła moje rzeczy na najbliższą szafkę, a ja zobaczyłam ogromne pomieszczenie, które kończyło się gdzieś daleko półokrągłą ścianą z trzema oknami! Tam też widziałam dzieci siedzące przy stoliczkach lub bawiące się na dywanie klockami. Pani Renia popchnęła mnie delikatnie w ich kierunku, zachęcając, żebym przyłączyła się do zabawy, a potem usiadła przy biurku i zaczęła przeglądać jakieś papiery. Pozostawiona sama sobie stałam i patrzyłam, nie mogąc się zdecydować, do kogo podejść. Wreszcie wybrałam wysoką brunetkę w różowym golfie zajęta układaniem książeczek na półce.
- Co robisz? – zapytałam, żeby jakoś zacząć.
 - Szukam takiej jednej książki z kolorowymi obrazkami. Bo nie wszystkie mają kolorowe obrazki – odpowiedziała, a potem przyjrzała mi się uważnie. – Jak masz na imię?

– Małgosia.

– A ja Jola. Chcesz ze mną siedzieć przy śniadaniu?

– Chcę!

I już miałam koleżankę. Bawiłyśmy się potem razem aż do śniadania. Dzieci przybywało, a Jola przedstawiała mnie każdemu i było trochę tak, jakby czuła się za mnie odpowiedzialna, jakbyśmy znały się od dawna.

Po śniadaniu pani Renia zarządziła wyjście na podwórko i wtedy przypomniałam sobie, że przecież wciąż nie mam znaczka.

– A tak, prawda – zamyśliła się pani Renia. – Dam ci żołędzie.

– Proszę pani, żołędzie ma Lidka – zaprotestowała blondynka w kucyku, chyba Agata.

– Lidka nie będzie w tym roku chodzić do przedszkola, więc żołędzie dostanie Małgosia.

Bardzo się ucieszyłam, bo mogło się przecież zdarzyć, że dostanę traktor albo czołg.

W szatni pani Renia wskazała mi odpowiednią szafkę i zostawiła w niej moje rzeczy.

– Jak wróci Lidka, to musisz jej oddać żołędzie – Agata stanęła nade mną z założonymi rękami. Udawałam, że jej nie widzę, nie słyszę i skupiłam się na rozwiązywaniu sznurówek.

– Masz brzydkie kapcie – dodała jeszcze moja prześladowczyni i poszła sobie, a ja poczułam, że się czerwienię.

Miałam nadzieję, że na podwórko wyjdziemy przez te piękne, podwójne drzwi prowadzące na taras, ale nie – pani wyprowadziła nas głównymi drzwiami pod blaszany daszek i dalej w lewo w stronę kasztanowej ścieżki. Następnie usiadła na ławce, a my mogliśmy robić, co chcemy.

Spojrzałam w górę, żeby sprawdzić okno na poddaszu – tym razem nikogo w nim nie ujrzałam.

– Chodź, idziemy zbierać kasztany – zaproponowała Jola.

– Zaraz, tylko muszę coś powiedzieć pani.

– A co?

– No... potem ci powiem – wykręciłam się jakoś od odpowiedzi i Jola poszła z innymi dziewczynkami na kasztany.

Pani Renia podniosła oczy znad książki, czując, że stoję i się na nią gapię.

– O co chodzi? – zapytała.

– Proszę pani, czy na górze też jest przedszkole?

– Nie.

– A czy tam ktoś mieszka?

– Tak.

– A kto?

– Dlaczego pytasz? – pani spojrzała na mnie tym razem bez uśmiechu. Pewnie pomyślała, że jestem strasznie wścibska.

– Bo... bo widziałam w oknie na strychu jakąś dziewczynkę.

– Mieszka tam pani Teresa, emerytowana nauczycielka, z mamą i siostrą.

– Może to była wnuczka tej pani.

– Pani Teresa nie ma wnuczki. Pewnie coś ci się wydawało. No, idź się bawić – i pani wróciła do książki.

Postałam jeszcze chwilę, potem odwróciłam się na pięcie i zaczęłam biec w stronę kasztanowców. Pomyślałam jednak, że Jola będzie mnie wypytywać, o czym rozmawiałam z panią, a ja nagle poczułam, że sprawa dziewczynki z facjatki jest bardzo tajemnicza i nie chcę się nią dzielić z koleżankami. Skręciłam więc w stronę piaskownicy, gdzie królowały maluchy ze swoimi wiaderkami i foremkami.

Ukradkiem spojrzałam w stronę facjatki, ale i tym razem nikogo nie zobaczyłam. Może tata i pani mają rację? Może tylko mi się wydawało?

Poczułam żal i straciłam ochotę na zabawę. Postanowiłam obejść budynek przedszkola, sprawdzić, co jest po drugiej stronie. Niedaleko piaskownicy zaczynała się wydeptana w trawie ścieżka. Poszłam nią kawałek, ale ścieżka kończyła się u stóp schodów prowadzących na taras. Dla mnie okazał się niedostępny, gdyż między balustradami postawiono metalową furtkę zamkniętą teraz na kłódkę. Nikt tędy od dawna nie przechodził, bo schody były brudne, pokryte ziemią i zgniłymi liśćmi, które leżały tu chyba jeszcze od zeszłej jesieni. Skręciłam w prawo, lecz już po chwili natrafiłam na gęste krzewy i chaszczę. Na czworakach zaczęłam się przez nie przedzierać. W pewnym momencie poczułam okropny zapach, któremu towarzyszyło brzęczenie much. Pomyślałam, że ktoś chyba zrobił tu kupę i mało nie krzyknęłam z obrzydzenia, ale to mogłoby mnie zdradzić, więc tylko podniosłam na wszelki wypadek ręce z ziemi i teraz przedzierałam się mocno pochylona. Gałęzie szarpały mnie za włosy, wplątywały się w sweterek. Wsunęłam dłoń do kieszeni i wymacałam poranny kasztanek. Ścisnęłam go mocno i zrobiło mi się trochę raźniej. Wreszcie natrafiłam na miejsce, w którym mogłam się wyprostować i stwierdzić, że wprawdzie pas drapiących krzaków pozostał za mną, ale tylko po to, aby ustąpić miejsca wysokim, suchym trawom i pokrzywom. Zajmowały całą przestrzeń aż do drucianej siatki, która uniemożliwiała mi dalszą drogę wokół przedszkola. Spoglądałam na nią rozczarowana i wtedy, tuż obok drzewa rosnącego po drugiej stronie siatki, znów ją zobaczyłam. To na pewno ona, dziewczynka z facjatki. Poznałam ją po ciemnej opasce na głowie i szarej sukience z wysokim kołnierzem z

koronką oraz mankietami zapinanymi na drobne guziczki. Patrzyła na mnie i uśmiechała się, ale tak jakoś smutno. Nie zważając na pokrzywy, zaczęłam przedzierać się w stronę drucianej siatki i wołać:

– Hej! Podejdz do płotu! Jak się nazywasz?

Dziewczynka splotła przed sobą ugięte w łokciach ręce i zaczęła nimi kołysać w prawo i w lewo, w prawo i w lewo, a potem odwróciła się i odeszła powoli, aż zniknęła między drzewami.

– Hej! – zawołałam jeszcze raz, mając nadzieję, że wróci. Postałam przez chwilę, w końcu poczułam, że pieką mnie dłonie i twarz. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że poparzyły mnie pokrzywy, a co więcej, powinnam już wracać i to tą samą drogą. Tym razem szłam ostrożnie, ale pokrzyw było za dużo, więc pochlipywałam z bólu i strachu, że już mnie tam wszyscy szukają.

Kiedy na powrót znalazłam się przy piaskownicy, okazało się, że maluchy dalej stawiają babki z piasku, pani od maluchów jednemu wyciera nos, drugiego huśta na kolanach, nasza pani czyta książkę, chłopaki biegają z patykami i co jakiś czas wrzeszczą: „tatatata, nie żyjesz!”, a dziewczynki porównują, która ma ładniejsze kasztany.

– Małgosia! Gdzie byłaś? Chcesz kasztany? – zawołała w moją stronę Jola.

– Mam już – odpowiedziałam i pokazałam poranny talizman.

– Jeden – Agata wyduła wargi – i do tego mały!

– Ale zaczarowany!

Schowałam kasztanek do kieszeni swetra i pomyślałam o dziewczynce w szarej sukience. Nagle zdałam sobie sprawę, że nigdy jeszcze nie widziałam takiej ślicznej sukienki, chyba tylko na starych fotografiach. W takich sukienkach chodziły dziewczynki w dawnych czasach, kiedy moja babcia była mała.

– No, co tak stoisz? – Jola chwyciła mnie za rękę. – Chodź, pani woła.

– Małgosia jest zaczarowana! – zaśmiała się Agata. – Kasztan ją zaczarował! Czarownica!

Inne dziewczynki też zaczęły się śmiać.

– Nie zwracaj na nie uwagi – szepnęła Jola, widząc, że chyba zaraz się rozplacę. – Powiedz mi, co robiłaś na podwórku. Szukałam cię.

– A, nic.

– Nie chcesz mówić, to nie mów. Bez łaski.

Była wyraźnie obrażona. Bałam się, że zaraz dołączy do Agaty i zostanę sama, więc zaczęłam szybko opowiadać o dziewczynce w oknie i spotkaniu w ogrodzie, o pięknej, jak z bajki, sukience.

– Może ona jest chora? – zasugerowała Jola. – Moja mama mówi, że tu obok jest szpital dla gruźlików.

– Kto to jest gruźlik?

– Ktoś, kto jest ciężko chory na płuca i potem umiera.

– A czemu miała taką ładną sukienkę?

– Może to jej koszula nocna.

– A co robiła rano na strychu?

– Może tu mieszka, a potem wzięli ją do szpitala.

– Pani mówiła, że tu żadna dziewczynka nie mieszka.

Jola wzruszyła ramionami:

– Czemu ona cię tak obchodzi? Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

– Jesteśmy – zapewniłam skwapliwie – tylko tak jakoś...

Dziewczynkę w szarej sukience otaczała tajemnica, która niezwykle mnie pociągała, a tego nie potrafiłam Joli wyjaśnić.

Po obiedzie było leżakowanie. Nie wiem, kto wymyślił, że dzieci po obiedzie powinny spać. To znaczy w domu nikt mi nie kazał, ale w przedszkolu spanie było obowiązkowe. Pani siedziała za biurkiem i bacznie obserwowała, czy nikt nie rozmawia i czy mamy zamknięte oczy. Od czasu do czasu rozlegało się w ciszy:

– Tomek, nie wierć się.

– Kasia, zamknij oczy.

– Michał, odłóż autko.

Leżałam więc posłusznie i okropnie się nudziłam. Wreszcie wpadłam na pomysł, żeby iść siusiu.

– Tylko raz-dwa – nakazała pani i przyjrzała mi się szczególnie uważnie, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Wyszłam cichutko z sali na wielki hol z kominkiem. Drzwi na lewo, potężne, rozsuwane, prowadziły do sali starszaków. Tam też panowała cisza, bo nikt nie był zwolniony z obowiązku leżakowania. Na prawo szatnia, na wprost ubikacje i schody prowadzące na piętro. A jeśli pani wcale nie wie, kto mieszka u góry, tylko tak powiedziała, żebym dała jej spokój? Rozejrzałam się na wszelki wypadek, potem podeszłam do schodów i powolutku zaczęłam się po nich wspinać. Jeden, drugi, trzeci, piąty, dziesiąty, zakręt i oj! Dalszą drogę zatarasowała ściana! Na środku schodów ktoś postawił ścianę! Przyłożyłam do niej ucho, ale nie dobiegał zza niej żaden dźwięk.

– A panna co tu robi? – kilka schodków niżej stała gruba pani sprzątaczką i patrzyła na mnie groźnie.

– Pani też tu chodziła do przedszkola? – zapytałam, żeby jakoś załagodzić jej gniew.

Podziałało.

– Dziecko – westchnęła pani sprzątaczką – jak ja była mała, to my nie chodzili do przedszkola. Lotalimy po placu. Mamie też trzeba było pomagać. A tu nie było przedszkola.

– Jak to? – zdziwiłam się.

– Tak to. Tu mieszkali bogaci państwo.

– W całym domu?

– Bogocze tak mieszkali. Oni robili u hrabiego i hrabia im taki wielki dom wybudował.

– A hrabia też tu mieszkał?

– Niy, on miyszkoł w pałacu.

– Ale w Tarnowskich Górach nie ma pałacu.

– Jest, jest i to niejeden.

– Gdzie?

– A tu zaroz, niedaleko, przy Dzierżyńskiego. Downiej w nim mieszkoł, potem już niy, mioł ino jakieś urzędy. Po wojnie, jak Niymsce puciekali, zrobili tam szkoła odzieżowo. Moja synowo do niyj chodziła.

– A ci państwo... to byli mama i tata pani nauczycielki, co mieszka u góry?

– Kaj tam! – moja rozmówczyni roześmiała się pogardliwie. – Ta by sie obok tych grafów nawet stanąć nie mogła.

– Nawet stanąć?

– No, oni byli bogaci państwo.

– I gdzie teraz są?

– Nie wiem – wzruszyła ramionami. – Może kajś na Niymscach. Abo już nie żyją. To było downo.

– A mieli córeczkę? – przyszło mi niespodziewanie do głowy.

– Toć mieli – nagle pochyliła się w moją stronę i wyszeptala: – Jedna to tukej umarla, jak jeszcze była mała.

– Miała chore płuca? – szept udzielił się i mnie.

– Może być. Downiej kupa dzieci umierało...

– Małgosiu! – w drzwiach sali ukazała się zagniewana pani Renia.

Nie musiała nic więcej dodawać. Posłusznie wróciłam do sali na swoje miejsce. Pani Renia wciąż mnie obserwowała, więc zamknęłam oczy i leżałam bez ruchu.

W pewnym momencie wyobraziłam sobie, że stoję przy oknie. Niedaleko piaskownicy widzę dziewczynkę w szarej sukience. Idzie powoli, zagląda pod każdy krzew, rozgarniając gęste gałęzie. „Adelko!” – woła dziewczynka – „Adelko, gdzie jesteś? Gdzie się schowałaś?” Wreszcie przystaje zrezygnowana, smutna, zasłania rękami twarz. Płacze. Potem podnosi głowę i patrzy w moją stronę. Patrzy, patrzy...

– Ojej! – obudziłam się i usiadłam gwałtownie na leżaku.

Obok mnie oczy przecierała Jola:

– Coś ci się śniło?

– Dziewczynka w szarej sukience – wyszeptalam. – Wiem, dlaczego jest taka smutna. A w ogóle to ona już chyba umarła.

– Zmyślasz – Jola wyraźnie się przestraszyła – i kłamiesz. Powiem pani.

– Tak mi się śniło – zakończyłam i postanowiłam nic więcej Joli nie mówić.

Na podwieczorek był kisiel, ale nie miałam na niego ochoty, więc tylko nabierałam na łyżeczkę ciągnącą się, czerwoną masę, która zaraz z klapnięciem opadała z powrotem na talerzyk. Jola przesiadła się obok Agaty i coś sobie ciągle szeptały, patrząc raz po raz w moją stronę. To było okropne, więc żeby się nie rozplakać, wróciłam myślami do tajemniczej dziewczynki. Czy ona przyszła do mnie we śnie? Czy Adelka to jej siostra? A może lalka, która gdzieś się zawieruszyła?

Wstałam od stołu i podeszłam do okna wychodzącego na podwórko z piaskownicą. Było puste i smutne. Szarawy piasek, drewniana ławka, z której gdzieniegdzie obłaziła zielona farba, porzucone patyki. Niebo pokrywały granatowe chmury, zanosilo się na deszcz.

Po podwieczorku zaczęli pojawiać się rodzice i teraz już nie mogłam się doczekać, kiedy tata po mnie przyjdzie.

Dzieci ubywało i ubywało, a ja czekałam i czekałam.

Wreszcie tata stanął w drzwiach, więc pobiegłam do niego z radością, ale jeszcze wróciłam, żeby pożegnać się z Jolą. Niespodziewanie zarzuciła mi ręce na szyję, cmoknęła w policzek i szepnęła:

– Nie strasz mnie już tą dziewczynką.

Obiecałam, że nie będę.

Tata odebrał wózek i chciał, żebym w nim usiadła, bo spadły pierwsze krople, więc znów trzeba się było spieszyć. Popatrzyłam jednak błagalnie i tata chyba wreszcie zrozumiał:

– Dobrze, ale jak miniemy przedszkole, to wsiadasz. Inaczej całkiem zmokniemy.

Kiedy przechodziliśmy obok podwórka, zatrzymałam się gwałtownie.

– Co się stało? – zdziwił się tata.

– Poczekaj! – rzuciłam. Pobiegłam w stronę piaskownicy i dalej, aż na ścieżkę prowadzącą do schodów na taras. Przykucnęłam i włożyłam rękę między metalowe pręty zamkniętej na kłódkę furtki. Na mokrych, zgniłych liściach położyłam mój zaczarowany, poranny kasztanek.

– To dla ciebie – wyszeptałam – może przyniesie ci szczęście i znajdziesz Adelkę. Zawsze będę o tobie pamiętała, ale nie przychodź już do mnie.

– Małgola! – usłyszałam wołanie. – Co ty tam robisz?

Popatrzyłam ostatni raz na kasztanek i wróciłam do taty. Czekał na mnie zniecierpliwiony z wielkim, czarnym parasolem. Żeby go udobruchać, wsiadłam od razu do wózka. Tata owinał mnie troskliwie kocą i popędziliśmy w stronę lipowej alei, szosy Bytomskiej, parku Kamilianów, ulicy Słonecznej, do domu.

Nigdy więcej nie zobaczyłam dziewczynki w szarej sukience, ale myślę o niej czasem, choć minęło prawie pół wieku. Siedzę sobie na ławce otoczonej pnącymi różami i spoglądam na wypieszczony ogród pełen gipsowych figurek przedstawiających mityczne boginie, jelonki, całujące się gołąbki, baraszkuje delfiny, dumne orły. Szmerze strumyk, pluszcze fontanna. Nad sztuczną rzeką przerzucono betonowy mostek z poręczą złożoną z szeregu kolumnienek. Są też zadaszone altany, w których można się ukryć, jest taras, na który z ogrodu wiodą kamienne schodki – z prawej i lewej strony. Na tarasie, pod ogromnymi, płóciennymi parasolami ustawiono stoliki i wygodne krzesła. Tam goście znajdują ochłodę i orzeźwienie, jeśli zmęczą się tańcem lub zbyt obfitym jedzeniem.

To wciąż ten sam budynek, w którym przed laty było przedszkole, ale jakże odmieniony.

Teraz, jasny i zadbane, oferuje miejsca noclegowe i sale na weselne przyjęcia. Skorzystaliśmy. Moja córka wychodzi za mąż. W sali średniaków jemy obiad, w sali starszaków tańczymy.

W miejscu dawnej szatni urządzono przestronne sanitariaty, tuż obok – zaplecze kuchenne przypominające chemiczne laboratorium. Z holu zniknął kominek, zastąpiła go elektryczna imitacja. Króluje tu komplet wypoczynkowy ze skóry w kolorze dojrzałych kasztanów.

Wszędzie czysto, schludnie, elegancko.

Tak, ale dziewczynka w szarej sukience na pewno już tutaj nie mieszka.